

Muzyka w moim rodzinnym domu zawsze odgrywała ważną rolę. Jeszcze, kiedy chodziłem do podstawówki ojciec często grał na skrzypcach i na harmonijce ustnej. Sądzę, że zagrałby na każdym instrumencie, jaki wpadłby mu w ręce, miał do tego wyjątkowy talent. Nieważne, czy była to harmonijka ustna czy mandolina. Potrafił czytać nuty i zapisywać muzykę, ale nie był zawodowym muzykiem. Choć urodził się w Polsce, w biednej wsi w pobliżu Myślenic, większość dzieciństwa i całą młodość spędził we Francji. Rodzice wraz z czwórką dzieci mieszkali w ubogiej, górniczej kolonii w północnej Francji. W wieku 14 lat musiał już pójść do pracy i jedynie po pracy uczył się gry na skrzypcach w szkole muzycznej. Idolami nastolatka byli Stefan Grapelli, Django Reinhardt i Tino Rossi.

Po wojnie, po śmierci rodziców, przyjechał do Polski, trafił do Boguszowa, dawnego Gottesbergu, gdzie poznał mamę i wkrótce na świecie pojawiłem się ja. Na podstawie zachowanych licznych, starych, małych, czarnobiałych zdjęć jestem pewien, że mimo ciężkich warunków życia i pracy, byli szczęśliwi. Po ślubie zamieszkali w małym wynajętym mieszkaniu. Wieczorami słuchali z mamą radia Monte Carlo a w wolnych chwilach, których nie było zbyt dużo, ojciec grał na skrzypcach i komponował piosenki. W domu leżały całe pliki zeszytów nutowych zapisanych jego kompozycjami, które niestety nie zachowały się. Szkoda, bo choć kilka z tych piosenek wciąż doskonale pamiętam i mogę je zaśpiewać, nie potrafię jednak zapisać tej muzyki na pięciolinii. W końcu lat pięćdziesiątych wysłał nawet pocztą nuty swoich kompozycji na konkurs muzyczny ogłoszony przez radio Monte Carlo, ale jego listy pozostały bez odzewu. Nie wiadomo czy w ogóle dotarły do adresata. Takie to były czasy.

Jak ojciec godził ciężką pracą fizyczną, skutecznie niszczącą jego dłonie, z grą na tak wymagającym i delikatnym instrumencie, jakim są skrzypce – nie wiem. Pracował fizycznie w hucie a po pracy jeszcze na ogrodzie. Ogród to była nie tyle przyjemność, co konieczność. W wyniku takiej pracy jego palce były twarde i zgrubiałe. Mimo tego, zamiłowanie do muzykowania zostało mu na zawsze. Często grał w domu a mama i nasza trójka śpiewała stosując się do jego uwag. Już, jako małe bąble bawiliśmy się akompaniując ojcu - grając na grzebieniu, wybijając rytm łyżką o stół, albo potrząsając butelką z wetkniętą w jej szyjkę łyżeczką lub widelcem.

Potem, na początku każdego roku szkolnego ojciec zawsze przeglądał nasze szkolne śpiewniki bez problemu wyśpiewując sobie drukowane tam nuty piosenek. Niestety, mimo podejmowanych prób zachęcenia nas do gry na jakimkolwiek instrumencie, żadne z jego dzieci nie odziedziczyło po nim talentu do muzykowania.

Później, kiedy już byliśmy starsi, takie rodzinne śpiewania także były częste, choć już nie zawsze braliśmy w nich udział z taką ochotą jak dawniej a i ojciec już na to nie naciskał. W niedziele słuchaliśmy listy przebojów nadawanych przez Radio Wrocław. Z tamtych czasów pamiętam „Strangers in the Night” Franka Sinatry i „Zielone trawy ojczystego domu” Toma Jonesa, a z polskich wykonawców przede wszystkim „Blackout” i ich „Annę”, oraz Czesława Niemena z „Akwarelami” i „Domek bez adresu”. Dopiero znacznie później zaczęła dominować radiowa „Trójka”.

W pierwszych latach technikum idolami młodzieży byli członkowie „Czerwonych Gitar”, „Czerwonoczarnych”, „Niebiesko-Czarnych” i „Skaldów”. Z zagranicznych wykonawców największymi, bezspornymi idolami młodzieży była czwórka z Liverpoolu, czyli „The Beatles”, a tuż za nimi „The Rolling Stones”. Bardzo popularną była także muzyka francuska i włoska, na przykład Adriano Celentano i jego „Azzurro”. To wtedy po raz pierwszy usłyszałem Johnny’ego Hallydaya, którego, mimo upływu wielu lat wciąż chętnie słucham – szczególnie, gdy chcę „naładować baterie”. Zawsze był ogromnie dynamiczny. Początkowo starał się być bardzo „amerykańskim”, takim francuskim Elvisem Presleyem, ale z czasem wypracował swój własny, niepowtarzalny styl – zawsze bardzo profesjonalny i bardzo emocjonalny. On i Sylvie Vartan to była para, za którą szalała francuska młodzież; do nas docierały tylko echa tej popularności. Częściej słuchano Salvatore Adamo i jego piosenek: „Tombe la neige” i „Viens, viens ma brune”.

Pamiętam jak ucieszyło mnie pierwsze radio tranzystorowe; nazywało się „Selga” i było oczywiście produkcji radzieckiej. To na nim słuchaliśmy Radia Luksemburg i najnowszych zachodnich przebojów, takich jak choćby „Hey tonight” grupy CCR. W domu był też oczywiście adapter i płyty, choć niedużo, bo były stosunkowo drogie, szczególnie tak zwane longplaye.

Ewenementem były „pocztówki dźwiękowe”, czyli kolorowe pocztówki pokryte tworzywem sztucznym, na powierzchni których wyryto ścieżki dźwiękowe, takie jak na normalnych płytach gramofonowych, pozwalające na domowych adapterach odtwarzać popularne piosenki.

Od czasu do czasu, kiedy nachodziła ojca ochota na muzykowanie, sięgał po skrzypce leżące zawsze pod ręką na szafie, smarował smyczek kalafonią i dawał nam krótkie koncerty. A gdy z okazji jakichś świąt, urodzin lub imienin udawało się nam na dłużej zebrać w komplecie przy stole, śpiewaliśmy wspólnie stare, francuskie piosenki, które rodzice znali ze swej młodości, a my zdążyliśmy już dzięki nim dobrze je poznać. Śpiewaliśmy piosenki znane z radia i piosenki skomponowane przez ojca, przypominane przy takich okazjach. Kiedy ojciec miał dobry humor i trochę bardziej się rozkręcił przypominał sobie stare polskie pieśni i piosenki, które słyszał jeszcze od swego ojca, takie jak na przykład: „Pole, pole, pole szerokie, kto to pole będzie orał jak ja będę maszerował” z dodatkową zwrotką „Winko, winko, winko czerwone...”, albo nieco sprośną „W Biertowicach jest domecek murowany z cegielecek”.

Kiedyś w 1972 albo 1973 roku, kiedy zostałem właścicielem wspaniałego czterościeżkowego magnetofonu marki „Grundig”, w czasie jednego z takich niedzielnych muzykowań, ustawiłem na stole mikrofon, który kupiłem w komplecie z magnetofonem i nagrałem około pół godziny takiego rodzinnego koncertu. Ojciec grał na skrzypcach i śpiewał, wtórowała mu mama a ja z bratem włączaliśmy się od czasu do czasu, kiedy znaliśmy słowa wygrywanych piosenek. Kiedy nie znałem słów pogwizdywałem sobie tylko melodię. Wybijałem też rytm uderzając palcami o stół imitując perkusję. Całkiem nieźle to wychodziło. Siostra nie chciała śpiewać, dlatego nie ma jej na tym nagraniu. Choć była razem z nami w pokoju, nie dała się namówić do wspólnej zabawy. Może dlatego, że była wtedy przeziębiona i pociągając nosem leżała na kanapie przykryta aż po szyję kocem. Za to brat nieźle buczał.

Ojciec nie mógł jednocześnie śpiewać i w normalny, tradycyjny sposób grać na skrzypcach trzymany pod brodą. Poradził sobie z tym doskonale akompaniując sobie na skrzypcach pizzicato, czyli traktując skrzypce jak gitarę. Większość piosenek rozpoczynał ojciec, dołączała do niego mama a my najczęściej wchodziliśmy dopiero w refrenach. Czasami mama zagalopowywała się w śpiewie i wyprzedzała dźwięki muzyki. Wtedy ojciec strofował ją, ale bez złośliwości: „Nie pędź tak, słuchaj muzyki, nie wrywaj się przed nią”. Kiedy cichła speszona śpiewał jej piosenkę „Regina ma”, którą napisał dla niej jeszcze przed ślubem i mama natychmiast się rozchmurzała. Tekst tej piosenki w większości był po francusku, bo w tym języku, znanym z młodości jakoś łatwiej przychodziło mu układać rymy. Wszystkie późniejsze piosenki miały teksty polskie, czasem niezbyt poprawne gramatycznie i stylowo, ale idealnie dostosowane do melodii i rytmu tych piosenek. Czekając na upragniony urlop napisał kiedyś piosenkę z takim tekstem: „Tak teraz jechać na wczasy, niech będzie byle gdzie, nieważne: w góry lasy lub nad morze...”, itd. Kiedy rodzice oczekiwali na urodziny mojej siostry ojciec skomponował piosenki: „Wiosno, wiosenko tak cię czekamy” i „Szukam Danusi”.

Dzisiaj bardzo żałuję, że nie nagrałem wówczas dłuższego fragmentu tego naszego koncertu. Duża okrągła taśma magnetofonowa trafiła do pudełka i do szuflady. Nieużywana, leżała tam bardzo długo, trochę zapomniana. Przecież działa się wówczas tak wiele i w moim życiu, i w kraju, i na świecie.

Świat zmieniał się, gnał do przodu bez opamiętania. Zmieniała się też muzyka i sprzęty do jej odtwarzania. Najpierw pojawiły się magnetofony kasetowe, które powoli wyparły ciężkie magnetofony z dużymi okrągłymi taśmami. Wtedy każdy chciał mieć przenośne radio z odtwarzaczem kaset magnetofonowych, na przykład popularnego polskiego „Kasprzaka”. Szkoda mi było dużych krążków starych taśm magnetofonowych, na których zapisałem mnóstwo mojej ulubionej muzyki. Na szczęście udało się, korzystając z potężniejszych kabli, część tej muzyki przenieść na kasety. Wtedy też przeglądając

stare taśmy trafiłem na taśmę z zapisem naszego rodzinnego koncertu. Nie wszystko udało się przegrać, wybrałem najlepsze fragmenty i zapisałem je na osobnej kasecie. Przesłuchałem jak to wyszło, po czym kasetka znowu trafiła na dłużej do szuflady.

Po przedwczesnej śmierci mamy ojciec mocno podupał i trochę zamknął się w sobie. Czuł się niepotrzebnym, dzieci miały już własne rodziny. Brat i ja mieszkaliśmy, co prawda w tym samym mieście, ale przecież mieliśmy własne życie, z ojcem spotykaliśmy się tylko od czasu do czasu. Została z nim nasza siostra, która także wyszła za mąż. Niestety, z jej mężem ojciec nie potrafił nawiązać serdeczniejszej więzi. Raczej schodzili sobie z drogi. Cieszyły go już tylko wnuki.

Kiedy było mu szczególnie źle schodził do piwnicy i tam sobie grał. Wtedy na krótko odżywał, zapomniał o chorobach i kłopotach, prostował się. Myślę, że był to jego sposób podnoszenia się na duchu i podładowywania swego wewnętrznego akumulatora. Uważał, że właśnie tam, w dobrze wygłuszonym piwnicznym pomieszczeniu, muzyka najlepiej brzmiała, tam była najlepsza akustyka.

W tamtym czasie popularnymi i ogólnodostępnymi stały się także kamery wideo z taśmami VHS. Były to taśmy wielokrotnego użytku, pozwalające trwale zapisywać i dźwięk i obraz. Z kamery przegrywało się te filmy przenosząc je z taśmy na specjalne kasetki VHS. Takie kasetki odczytywane były następnie w odtwarzaczach połączonych z monitorami telewizorów, na których można już było oglądać nagrane filmy. Nagrywałem bardzo dużo takich filmów, notując w ten sposób ważne wydarzenia z życia rodzinnego, takie jak chrzciny, komunie lub wakacje.

Kiedyś, w czasie przypadkowych odwiedzin nagrałem taki piwniczny koncert ojca. Najpierw zaprotestował, ale widziałem, że to mu się spodobało, chyba cieszył się, że będziemy mieli po nim pamiątkę. W trakcie przegrywania filmu z taśmy kamery na taśmę kasetki VHS jeszcze obciąłem nieudane technicznie fragmenty i zostało tego niewiele - ot krótki filmik wpleciony w inne, dłuższe filmy z naszych rodzinnych wakacji lub wycieczek.

Po kilku lub kilkunastu latach rozwój techniki doprowadził do rozpowszechnienia się jeszcze doskonalszego sposobu zapisu dźwięku i obrazu. Tym razem była to prawdziwa rewolucja - całkowicie nowa, komputerowa technika cyfrowa. Teraz w taki cyfrowy sposób można zapisywać zarówno pliki audio, jak i video. Kasetki magnetofonowe i taśmy VHS odeszły do lamusa.

Aby uratować zapisaną na nich muzykę i obrazy trzeba było dysponować odpowiednim sprzętem. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności nasz sąsiad i dobry kolega był zapalonym elektronikiem, znającym się i mającym dostęp do takiego specjalistycznego sprzętu, który pozwalał zarówno na odczytanie starych taśm i kaset, jak i na zapisanie zawartych tam treści w formie cyfrowej na płytach DVD i CD. Dzięki jego nieocenionej pomocy uratowałem wszystkie nasze rodzinne wspomnienia. Mamy nie tylko nieme zdjęcia fotograficzne, ale i wiele filmów prezentujące nasze wyprawy, rodzinne spotkania i rozmowy sprzed lat.

Ojciec zmarł w listopadzie 2005 roku, w grudniu miałby 80 lat. Kiedy odwiedziłem go w szpitalu widziałem już bardzo cierpiącego człowieka; nic już nie mówił, nie musiał. Trzymałem go za rękę a on patrzył na mnie bez słów. Zapadnięta, szara twarz i tylko duże oczy, w których dosłownie widać było ból i jakiś żal. Nigdy nie zapomnę tej twarzy i tego wzroku. Czy zmarnował swoje życie? – na pewno nie!. Może w innych okolicznościach mógłby być muzykiem-wirtuozem, kompozytorem, a tu przyszło mu zmagać się z codzienną biedą, pracować w hucie i na polu. Szkoda, że nie zachowały się jego dawne zeszyty nutowe. Podziwiam to, w jaki sposób te szorstkie stwardniałe ręce potrafiły trzymać delikatne skrzypce i precyzyjnie prowadzić smyczek, a zgrubiałe palce naciskać precyzyjnie cztery cienkie struny.

Poza wciąż żywymi wspomnieniami i niewielu innymi, drobnymi pamiątkami pozostał mi po nim bardzo skromny zapis jego muzykowania. Choć płyt DVD z cyfrowym zapisem filmów rodzinnych zachowało się w naszym domu dość dużo, to jednak, niestety, filmik przedstawiający ojca grającego na piwnicznych schodach, zawieruszył się gdzieś w tej masie. Ale wiem, że gdzieś tam jest i jeszcze go odnajdę.

Ogromnie się cieszę, że udało mi się przegrać i utrwalić na płytach CD zapis naszego najstarszego rodzinnego koncertu, tego z 1973 roku. To nic, że ostatecznie, po 50 latach, pozostało z niego zaledwie 17 minut nagrania. Ważne, że jednak coś zostało.

Za życia mamy, rodzice utrzymywali kontakt listowny z rodziną zamieszkałą we Francji. Mama miała tam matkę, brata i siostrę. Ojciec także miał tam zamężne siostry, ale kontakty z nimi ograniczały się tylko do kartek z życzeniami wysyłanych na święta Bożego Narodzenia i na Wielkanoc. Czas płynął i kontakty, nawet te listowne były coraz rzadsze. Jednie babcia, matka mamy, i ciotka Celka, siostra mamy, odwiedzały nas kilkakrotnie. Po śmierci rodziców tylko ciotka Celka jeszcze kilkakrotnie przyjeżdżała do Polski. Ogromnie się wzruszyła, kiedy w czasie ostatniej wizyty podarowałem jej płytę CD z nagraniem naszego rodzinnego koncertu sprzed lat.

Myślę, że i moje dzieci, które przecież znały mego ojca, a może i wnuki, które go nie znały, będą kiedyś chciały usłyszeć jego muzykę. Po to ją przechowałem. Może dzięki temu, w pewnym stopniu stanie się nieśmiertelnym i będzie pamiętanym przez swoich potomków. Sądzę, że to by go bardzo ucieszyło.

Boguszów-Gorce 2023